№ 6. Piątek, dnia 6 Listopada 1874 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA dnia 25 października (6 listopada) 1874 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY
Sierpień — Wrzesień 1874 r.

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg)

II.

Wycieczka z Kremerem za miasto.—Klasztor Zwierzyniecki. — Dzwon rozbity. — Pamiątka klęski pod Warną. — Wizyta Kremera u Goethego. — Mickiewicz i A. E. Odyniec.— Wolfgang i pani Otylia.—Listy Odyńca.—Profesor Bratranek.— Panieńskie-Skały.— Apostrofa do nich Ambrożego Grabowskiego.—Jego sztuka czarodziejska w Panieńskich-Skałach.—Wola Justowska. — Piosenki. — Treść do drugiej seryi: „Listów z Kraków."—Stachowicz malarz.— Sukiennice krakowskie.

Wcześnie z wnuczkiem swoim, małym, ładnym a rozumnym chłopczyną przybył Kremer i ruszyliśmy razem do *Skal-Panieńskich*. Szła droga wielką równiną, pełna wybojów, przypominająca stare nasze gościńce, zanim drogi bite, (*szosy*) się ukazały.

Był to dzień 16 września r. b. ciepły i pogodny—na obszernej płaszczyźnie musztrowała się piechota, złożona z samej dorodnej młodzieży. Po lewej ręce zdala ukazała się *Mogiła Kościuszki*, a bliżej przed nią wieże i mury klasztoru Zwierzynieckiego.

— W nim, wskazując nań mówił Kremer, jest dzwon rozbity, w który w oznaczonych dniach biją, wzywając wiernych do modlitwy za utopionych w Wiśle. Przerażający jest dźwięk tego dzwonu, jakby jęczał—ale czyż to nie poetyczne?

— W wielu okolicach odrzekłem mu na to, po wielu starych kościołach wiejskich, które ocieniają wiekowe dęby, kasztany, topole, lipy a czasem i modrzewie, w poobiednich godzinach, po *Ave Maria* biją dzwony, na pamiątkę poległych wraz z królem Władysławem. A dźwięk ich jest inny, dzwon bowiem bije z przerwami dłuższemi po razu tylko, w jednych stronach pięć, w drugich siedem razy. Kto zna to hasło, może odmówić całą modlitwę: „za umarłych," zanim echo ostanie uderzenie odbije!

— Piękny to zwyczaj, i poetyczny! mówił Kremer zażywając ulubioną tabakę. Po chwili zwrócił się do mnie z rozjaśnionem obliczem i zaczął:

— Mówiłem ci o odwiedzinach Kazimierza Brodzińskiego w r. 1827 w Warszawie, muszę ci teraz opowiedzieć *wizytę* moję u sławnego Goethego. Było to we dwa lata później bo w roku 1829, kiedym się z uniwersytetu berlińskiego wybrał dla poznania wielkiego poety. Z równą jak do Brodzińskiego nieśmiałością, przybywszy do Wejmaru, udałem się w odwiedziny Jego Ekscelencyi, powątpiewając o uprzejmości, jakiej w Warszawie doznałem od kochanego profesora uniwersytetu. Było to już po odwiedzinach Goethego, przez A. Mickiewicza i A. E. Odyńca, które ten ostatni tak malowniczo a z całą prawdą opisał.

— Wystrojony lokaj otworzył mi naścieżaj wielkie podwoje, i w sieni spostrzegłem młodego chłopczynę, który zbiegał ze schodów. Był to *Wolfgang* wnuk Goethego, który dowiedziawszy się żem Polak z Krakowa, wyprzedził mnie, i dziadka z radosnym okrzykiem o mojem przybyciu uprzedził. I tu biło mi serce gwałtownie. W salce ujrzałem poważną postać Goethego wielce podobną do jego biustów rzeźbionych i sztychowanych portretów. Stał przy stole, jedną ręką na nim się opierając. Teraz znowu zapomniałem przemówki, którą okrągłemi słowy w drodze ułożyłem sobie. Goethe, wiedząc żem z Krakowa, zaczął dopytywać mnie o rzeczpospolitą krakowską, i między innemi wyraził, że ten ówczesny kraik tak szumnym tytułem ozdobiony, był raczej na żart z podobnej formy rządu utworzony: gdyż ta rzeczpospolita, wśród trzech potęg, bezsilna i wątła, żyje tylko z łaski ich i miłosierdzia. Wspomniał, że poznał Mickiewicza i dodał: „ten człowiek zaszczyt swemu krajowi przynosi."

— Wkrótce nadeszła pani *Otylia*, synowa Goethego, która mi opowiadała jak się Odyniec zajął piękną ich towarzyszką: „aleśmy, dodała, nie były o to zazdrosne."

— W tym roku, przed twojem przybyciem był w Krakowie Odyniec. Wiesz jak jego listy drukowane w *Kronice Rodzinnej* o Mickiewiczu były ciekawie czytane. Profesor naszego uniwersytetu *Bratranek* przełożył je na niemiecki i wydał p. n. *Zwei Pohlen in Weimar;* dzieło to rozchwytali Niemcy i unosili się nad niem. Owóż poznałem ich teraz z sobą, i bawiło mnie patrząc, jak się obaj uważnie przypatrywali sobie. Krytyka niemiecka uznała, że w tych listach Polaka, Goethe żywcem pochwycony został.

W tej chwili dojechaliśmy do *Woli Justowskiej*, i stąd ruszyliśmy ku *Panieńskim-Skałom*, ulubionemu miejscu przechadzek archeologa Ambrożego Grabowskiego, o których on z uniesieniem w swoim opisie Krakowa i okolic pisze:

„Miłośniku pięknej przyrody! jeśli podziwiać lubisz urocze wdzięki tej matki wszech tworów, te cuda ręki Stwórcy, jeśli cię zająć zdoła widok skał cudnych kształtów, ubranych w drzewa i krzewy, które tak właśnie, jak wnika nadzieja w serce znękane, w ich twarde łono wciskają swe korzenie, odwiedź to rozkoszne a niedalekie ustronie, tę miłą i malowną a mało tu znaną samotnię, a zadowolony jej przyjemnością, trudu żałować nie będziesz."

Wąską drożyną, wysadzoną, brzozami podjechaliśmy do tej ustroni, ale trzeba było wysiąść z pojazdu, bo dalej pieszo tylko wędrować można. Kremer rzekł:

— Owóż las i *Panieńskie-Skały*, gdzie Grabowski pokazał sztukę czarodziejską.

— Ciekawym tej sztuki, bo mi nigdy, o tem niewspomniał, odpowiedziałem, chociaż zawsze się nad tą miejscowością unosił.

Drożyna wąska i kamienista wiodła w górę; najprzód wnuczek rzeźwy z moim najmłodszym synem wybiegali, a ja z Kremerem zwolna pięliśmy się za nimi: w odwodzie szedł *Pan Tomasz*, stary, wierny jego sługa z koszyczkiem w ręku. Kremer pomimo spadzistej i śliskiej drogi szedł rzeźwo, ażeśmy się wydostali na górę, i tuż przy ornem poletku na murawie usiedli do spoczynku. Pokrzepiwszy się winem czerwonem

i ciastem z koszyka, po wzniesieniu wzajemnie serdecznego toastu na *zdrowie!* i do szczęśliwego a prędkiego znowu się widzenia, ruszyliśmy dla ujrzenia owych skał, gdzie stary Grabowski, jak niegdyś Twardowski sztuki czarodziejskie miał pokazywać. Spadzistemi ścieżkami wśród gęstego lasu i wąwozami wyszliśmy na owo miejsce, i stanąłem podziwem przejęty, nad pięknością tej ustroni.

Dwie skały z szerokiemi rozpadlinami wybiegają wysoko, a wśród nich na szerokość kilku sążni piętrzy się wzgórek z rzadka drzewem i krzewiną przerosły.

— Tutaj, mówił Kremer, gdy Grabowski w gronie kilku przyjaznych osób przybył, spoczął na kamieniu. Świeże powietrze i przechadzka zaostrzały apetyt. Przekąska była, wody niebrakło, ale wina dla jej zaprawy nie było. Wtedy nasz archeolog powstawszy poważnie wyrzekł:

— Teraz pokażę wam czarodziejską sztukę, idę do skały, a za wymówieniem potężnego zaklęcia, żądany napój wydostanę.

Towarzystwo całe spojrzało ciekawie na sędziwego badacza, który zbliżywszy się do jednej ze skał, zaczął uroczystym głosem przemawiać niezrozumiałe słowa i po nich, z szerokiej szpary dobył butelkę dobrego wina! Okrzyk radosny powitał tak przyjemną czarodziejską sztukę.

Grabowski niemal codzień chodząc do *Panieńskich-Skał*, nosił z sobą przekąskę, a często i butelkę wina; na parę dni przedtem niemając pragnienia schował ją w szerokiej szparze skały, i teraz uczęstował towarzyszów tej miłej wycieczki.

Obszedłszy więcej malownicze miejsca, ruszyliśmy do *Woli-Justowskiej*, jako będącej na drodze do Krakowa.

Wieś ta, zwała się dawniej *Wolą Chełmską* i przybrała nową nazwę, od imienia właściciela, który tu wspaniały pałac wystawił. Był to *Jost Decyusz*, sekretarz króla Zygmunta I-go i autor kilku dzieł historycznych. Ten pałac w *Woli-Justowskiej*, o którym mowa, miał być wzniesionym przez włoskich rzemieślników i równocześnie z zamkiem krakowskim, skąd oba te gmachy co do architektury mają podobieństwo ze sobą. Pałac zachował się w pierwotnym kształcie: otacza go pyszny park i ogród, z którym współzawodniczyć może jedynie *Natolin* pod Warszawą. Dziś jest to własność jednego z książąt Czartoryskich, który grunta dworskie podzielił i sprzedał, a pałac, park i las zachował przy sobie.

Przy gościńcu stoi mała piętrowa oberża i ma swój ogródek oddzielony od parku *Woli Justowskiej*. Tu na trawniku znaleźliśmy kilkudziesięciu studentów bawiących się w gry, pod przewodem swego profesora, który z nimi ochoczo dzielił miłą rozrywkę. Przypomiało mi to chwilę lat dziecinnych, gdy w szkołach pijarskich wraz z księdzem profesorem jednym i drugim, podobnej używaliśmy zabawy; gdzie towarzysze drodzy i kochani nauczyciele?— jedni zadaleko, drudzy już spoczęli w mogiłach!

Ze smutniej zadumy zbudził mnie Kremer, przypominając że czas wracać: wsiedliśmy więc do powozu i ruszyli napowrót. Kraków ślicznie się cały przedstawiał z tej strony. Dla zatarcia rzewnych wspomnień, zacząłem opowiadać Kremerowi, jak w roku 1868 kiedy jechałem wraz z Grabowskim, a był to już starzec bardzo sędziwy, śpiewał mi czystym i niedrżącym głosam, piosenki z lat swoich młodych.

— I ja, odrzekł mi Kremer, byłem raz świadkiem. Jechałem do Frankfurtu, w drodze dowiaduję się, że jest w gronie *pasażerów* Polak, ale jak go wtłumie rozpoznać? Biorę się więc na sposób, i zaczynam w głos śpiewać:

„Dwie Marysie
Zeszły się!"

Piosnka cudowny skutek wywarła, po chwilce znajduje się ów Polak zwabiony moim śpiewem; był to *Wilczyński* słynny wydawca *Album Wileńskiego*.

Zaczął potem przypominać stary Kraków jak go zapamiętał z lat dziecinnych, bo tu się urodził, i malowniczo przedstawiać dawne typy odwiecznego grodu.

— Czemu tego nie spiszesz panie Józefie, odrzekłem, a to tak ciekawe obrazki zgasłej już społeczności. Wszystko co mi opowiadasz, dałoby nową seryą *Listów z Krakowa*, które się dzięki Bogu już trzech wydań doczekały, i tak chciwie są czytane. Kraków mimo uporczywego konserwatyzmu, powoli ulega wpływowi czasu i niedługo czekać, jak zmieni swoje oblicze. Już dziś niepodobny do tego, jak go zapamiętam, gdym go odwiedził w tym samym roku 1829, kiedyś składał swoję czołobitność Goethemu. Zniknęło wiele pamiątek w strasznym pożarze 1850 roku, i pałac biskupów krakowskich z malowidłami Stachowicza.

— A wiesz, że w moim domu mam jedno *alfresco* jego nad kominkiem. Przedstawia tańczących chłopów krakowskich, ulubiony przedmiot Stachowicza. Kiedy się zniszczyło chcąc charakter cały, a właściwy temu malarzowi, przechować, zawezwałem jego syna, aby mi je odnowił. Sprawił się należycie, nic niezepsuł, a odświeżył. Ofiarowałem mu pięć dukatów, ale chociaż sam ubogi wynagrodzenia tego nie przyjął.

— Pan profesor, rzekł do mnie, tak pięknie o moim ojcu napisałeś w *Listach z Krakowa*, że moję wdzięczność zachowam do grobu.

Ojca też jego, który w Krakowie używał rozgłosu jako malarz znakomity, kochał i poważał biskub Woronicz; zabrał go raz nawet z sobą do Warszawy. Stachowicz, który za mury Krakowa i jego okolic bliskich nigdy nie wybiegał, wyszedłszy na ulicę wraca do Woronicza, i osowiały mówi:

— Proszę Waszej Ekscelencyi wracajmy do Krakowa, co tu robić kiedy w całej Warszawie nie ma *Sukiennic!* Przy opowiadaniu jak był w Rzymie 1852 r. miał audyencyą u papieża Piusa IX, i był na beatyfikacyi jakiegoś błogosławionego, wjechaliśmy do Krakowa, i pożegnali ze sobą. *(d. c. u.)*

SŁOWIANIE
na ziemi Madziarskiej,
PRZEZ
A. H. Kirkora.

(Dalszy ciąg)

Czaplowicz, znakomity pisarz słowacki, podaje taką charakterystykę ludów słowiańskich w Węgrzech, nie wyłączając Niemca i Madziara:

U OGNISKA.

W zeszłą niedzielę, przed czwartą po południu, tłumy ludu zalewały część teatralnego placu, Senatorską ulicę i część placu bankowego. Na wszystkich twarzach malował się smutek, a po niejedniej spłynęła mimowolna łza żalu, kiedy o czwartej, stanął przed kościołem Ś-go Antoniego karawan, a z przedsionka kaplicy, przy dźwiękach przenikającej duszę modlitwy, wyniesiono umajoną wieńcami świeżego kwiecia trumnę...

Któż to zmarł co ma tak liczną rodzinę, tylu krewnych, przyjaciół i znajomych?

Zmarła istota, którą Bóg przysyłając na świat, udarował drogocenną iskrą talentu, która wytrwałą pracą i wielką dla sztuki miłością, tę świętą iskrę rozżarzyła w swej duszy w płomień, co przez dwadzieścia dwa lata, coraz jaśniejszym, coraz wspanialszym blaskiem przyświecał naszej scenie.

Talent artysty jest chlubą, pociechą i własnością ogółu, — ogół cieszy się jego istnieniem, jego wzrostem i siłą, ogół daje mu uznanie i sławę, ogół też płacze nad jego skonem tym goręcej, im wcześniej z rozbitej ręką przeznaczenia piersi, ten jasny płomień boży, wraca do stóp swojego Stwórcy.

Źli tylko, mogą być nieprzyjaciółmi talentu, a tych mniej niźli dobrych, więc też kilkunastotysiączny orszak postępował z boleścią w sercu za trumną Wiktoryny z Szymanowskich Bakałowiczowej, w której zawczesnym skonie, scena nasza poniosła ciężką, trudną do powetowania stratę.

Bakałowiczowa (wówczas panna Szymanowska) w 16-ym roku życia, debiutowała w operetce „*Dobranoc panie Pantaleon*," następnie, policzona w grono artystek dramatycznych, przez długie lata, występowała przeważnie w rolach zwanych *naiwnemi*. Prawdziwy, samoistny talent, bystra inteligencya, połączone z pracą, a spotęgowane nieocenionym skarbem twórczości, wzbiły ją wkrótce do wyżyn pierwszorzędnych artystek, których imiona nietylko w naszej, ale w kronikach najcelniejszych scen Europy, zajmują najzaszczytniejsze miejsca. Role naiwne, częstokroć połączone z rzewnością, a nawet dochodzące do dramatyczności nieprzekraczającej granic właściwego sobie zakresu, miały w Bakałowiczowej przedstawicielkę czarującą wdziękiem, zadziwiającą nieporównaną prawdą, wytrącającą widzom z pamięci teatr, scenę i mimowoli wzniecającą w nich wiarę, że nie mają przed sobą aktorki, lecz istotę, którą wymarzył autor, a w którą potężny talent artystki, dozwolił się jej duszą i ciałem przemienić. Żadna fałszywa intonacya głosu, żaden ruch niewłaściwy, nie zakradł się do jej gry zawsze głęboko obmyślanej, starannie opracowanej i zawsze umiejącej osłonić sztukę nieprzejrzystą powłoką, dochodzącej do złudzenia naturalności.

Ciągle wzrastająca siła talentu Bakałowiczowej, kilkonastoletnie doświadczenie i niespospolicie rozwinięty zmysł obserwacyjny, dozwoliły tej *prawdziwie* znakomitej artystce sprobować ról charakterystycznych. I oto wczorajszą pensyonarkę z *Pożaru w klasztorze*, dzisiaj widzimy zamienioną w starą bigotkę, towarzyszkę *Safandułów*; w dzisiejsze

„Pyszni się Madziar gdy jedzie na dzielnym koniu, Słowak gdy obcuje z wielkim panem, Rusin gdy wstąpi do stanu duchownego, Cygan gdy nosi czerwone spodnie.”

Albo: „Madziar kradnie najchętniej dobytek, zwłaszcza konie i woły; Słowak jadło; Rusin rzemień i żelazo; Wołoch pieniądze i błyskotki;— a Niemiec — wszystko co się nadarzy!”

Ale oto jeszcze dobitniej: „Słowak wstrzymuje się od kradzieży dlatego, że to sobie za grzech poczytuje; Rusin dlatego, że się kary obawia; Madziar, że nie ma potrzeby; a Niemiec, jeżeli się wstrzymuje, to chyba dlatego, że nie znajduje sposobności ukradzenia.”

„Podpiły Madziar, naraża się na największe niebezpieczeństwa, Niemiec nie chce pracować, Wołoch okazuje się przyjacielskim, Rusiniak niedomyślnym, Serb pochlebcą, Żyd przyrzeka złote góry, a Cygan nie żałuje pogróżek.”

U Słowaków i Rusinów najmniej bywa przestępstw; więzienia u nich prawie zawsze próżne; morderstwa, zabójstwa najwięcej popełniają się przez Madziarów i Wołochów. Wreszcie Madziar małomówny, nie bardzo usłużny, ale za to bardzo gościnny, w domu uprzejmy i wogóle w towarzystwie jest stokroć przyjemniejszy od Niemca.

Węgrzy, jak wiadomo, pod względem oświaty, rozwoju nauk i umiejętności, a nawet sztuk pięknych, wysokie dziś zajęli stanowisko. Ale nie o nich tu mowa.

Nim Madziarowie kraj dziś przez nich zajmowany zasiedlili, t. j. przed IX wiekiem, Czechowie, Morawianie i Słowacy jeden naród stanowili i jednym mówili językiem, a ten był bardzo zbliżony do polskiego.

Czechy, Morawianie i Słowacy jeszcze w IX wieku stanowiliby jeden naród potężny, a niewiadomo czy zlanie się słowiańskich narodów, popierane przez Świętopełka, już wtedy nierozszerzyłoby się i dalej, tak, że rzesza słowiańska z jednej strony graniczyłaby z Bizancyą, a z drugiej z Niemcami. Nadzieje te skonały razem ze Świętopełkiem. Najście zaś Madziarów oddzieliło bratnie narody od swych rodzinnych szczepów.

W dziejach widzimy nieraz, jak nieznaczące na pozór wypadki wywołują prawie niewidzialnym sposobem nadzwyczajne następstwa.

Tak też było i ze Słowianami, kiedy pod koniec IX wieku zasiedli Madziarowie ze swemi namiotami i jedynem mieniem, jakie posiadali, a które stanowiły liczne trzody, koło gór Karpackich. W kilka lat później widzimy już ich na rozległej płaszczyźnie, nad środkowym Dunajem. Pokrewni Czynhischanów i Tamerlanów, którzy pokonali plemiona uralskie, straszną lawą wtargnęli do Europy, usiłując zagarnąć pod swoje panowanie świat cały; Madziarowie należeli do plemion dzikich, koczowników; a więc step, był dla nich niezbędny, jak powietrze. Jakoż i dziś jeszcze widzimy, że gdzie tylko kończy się tak zwana *pustka*, t. j. równina, pola, łany, a gdzie się zaczynają pasma gór, tam kończą się i siedziby Madziarów. Madziar, niezaprzeczenie należy dziś do ucywilizowanych ludów Europy, przechował jednak i dotąd tradycyą swych przodków; dziesięć wieków ubiegłych od czasu osiedlenia się w tych stronach, nie zdołały wyniszczyć w nim dawnych nałogów i narowów. Dumny i pyszny, jak każdy Azyata; dlatego też i dziś najulubieńsze i najpożądańsze są dla niego: liczna trzoda, dobry koń, step.

Lecz wracamy do Słowiańszczyzny.

Na niezmiernej przestrzeni, od Baltyku do Euxynu, mieszkali Słowianie. Mamy niezłomne dowody ich tu pobytu w odległych czasach w samych nazwach rzek i osad, które do dziś dnia przechowały się, a które powtarzają się w daleko od siebie położonych miejscowościach. Na dwóch przeciwległych krańcach tego obszaru, widzimy dwie główne rzeki: *Wisłę* i *Dniepr*, a te służą niejako za kratery dla całej Słowiańszczyzny. Źródła bowiem tych dwóch rzek stanowią jej granicę od Wschodu i Zachodu; ujścia zaś granicę od Północy i Południa. Wisła i Dniepr daleko od siebie położone, wszakże związane one ze sobą nieprzerwaną siecią innych, większych i mniejszych rzek. W środku prawie, płyną w rozmaitych kierunkach dwie duże rzeki, jednocząc dwie gałęzie wód całej przestrzeni słowiańskiej ziemi, a same jednocząc się z owemi krańcowemi rzekami, gdyż jedna wpada do Wisły, druga do Dniepru; obie noszą prastare, słowiańskie imię *Bug*. Zobaczmyż teraz jak inne rzeki środek Słowiańszczyzny przerzynające, a łącząc się ze sobą, jednę nieprzerwaną sieć wodną stanowiące, mają dużo wspólnych nazw, które nie mogły wyniknąć przypadkowo. Tak np. Wisła ma imienniczki w rozmaitych stronach: *Wisłok*, *Wisłoka*— w województwie ruskiem; *S-wisłocz*, na Litwie; *Wiś*, *Wiśka*, na Ukrainie; następnie *Rudawa* pod Krakowem; *Radunia* pod Gdańskiem, wpadają do Wisły; *Rudnia* i *Rudewnica* do Dźwiny; *Babina* do Prypeci; *Babica* do Tykiczu; *Biała* z Przemszą, *Biała* sama, do Wisły, *Biała* do Sanu, *Biała* do Narwi; *Bóbr*, *Bobruja* do Berezyny, *Bobrek* do Dniestru, *Bobryca* do Dniepru, *Bobryniec* do Ingułu, *Bibra* do Narwi; *Bystrzyca* do Wieprza, *Bystryca* do Dniestru; *Czarna woda* do Wisły, *Czarna* z Świętą do Wilii, *Czarna*, *Czarnowa* do Prutu; *Czorna* do Dniestru; *Drosa* z Bibrą do Narwi, *Drysa* do Dźwiny, *Dzisna* do Dźwiny, *Desna* do Bohu; *Jasiel* do Wisłoku, *Jasiołda* do Prypeci; *Kamenka*, *Kamionka-Czarna* do Taśminy, *Kamienna* do Berezyny, *Kamionka* do morza Baltyckiego; *Łachwa* do Prypeci, *Łachy* odnogi wiślane; *Narew* do Bugu; *Noryń* do Prypeci; *Nurzec* do Bugu, *Nur* do Warty; *Omelowa*, *Omelnik* do Dniepru, *Omulew* do Narwi; *Usza* do Prypeci, *Usza* do Niemna, *Uszyca* do Dniestru; *Peremza* do Dniepru, *Przemsza* do Wisły; *Prut* w Polsce i *Prut* w Multanach; *Pissa* do Pregła, *Pisza* do Narwi; *Prosna* do Warty; *Wieprz* do Wisły, *Wieprzyk* do Dniepru; *Roś i Rośka* do Dniepru na Ukrainie, *Roś i Rośka* na Żmudzi do Niemna, *Russ* albo *Ross*, odnoga Niemnowa; *San* do Wisły, *Sona* do Bugu, *Sna* do Prypeci; *Sola* do Wisły, *Suła* do Niemna, *Suła* do Dniepru; *Suraż* do Narwi, *Sura*, *Surska* do Dniepru.

Tak samo co do jezior, rozmaitych osad, wsi, miasteczek, możnaby naliczyć mnóstwo jednoimiennych, lub zbliżonych do siebie z nazwy; ileż to na całej przestrzeni słowiańszczyzny, wielekroć razy powtarzanych nazw od lipy, od brzostu, od wiszni, od brzozy, od dębu,

---

Dorynie, figlarnej suberetce z *Świętoszka*, ani się możemy domysleć jutrzejszej, dobrze już podżyłej a pełnej pretensyi hrabiny z *Pozytywnych*, i patrzymy zdumieni i trudno nam uwierzyć, że to jedna i ta sama Bakałowiczowa... A jednakże tak jest... artystka od kilku lat, z równem powodzeniem odtwarzała naprzemian role naiwne, uczuciowe, komiczne, stare i młode! A żadna postać nowa nie spotkała się z dawniejszą, żadne nawet dwa podobne do siebie charaktery, nie wprowadziły aktorki w kłopot, bo je umiała umieścić w dwie, jak dzień do nocy, niepodobne do siebie postacie! Werwa, naturalność, humor i dowcip w grze, nieporównane wypowiadanie scen tragi-komicznych, bez najmniejszej przesady; nie lękanie się chwilowego przecharakteryzowania ładnej i miłej twarzy, w pomarszczone policzki panny *Forbac*, lub wyróżowane oblicze podstarzałej wdowy, wreszcie trafna charakterystyka całego ubioru, składały się i w tym rodzaju ról, na ich zupełne, niedopuszczające zarzutu, wykończenie.

Bakałowiczowa duszą całą służyła scenie, kochała i szanowała sztukę, której dyademu była pierwszorzędnym brylantem. Zgasła w 39 roku życia, kiedy śmierć niemając jeszcze do niej prawa danego przez naturę, jakby przebojem, w ciągu trzech dni, zdruzgotała to życie w pełni sił i talentu!

Wspominaliśmy w przedostatnim numerze o smutnem naszem przyzwyczajeniu szukania rozrywki poza strzechą domową. Odezwaliśmy się goręcej do tych, którym połowa życia upływa zdala od ogniska rodzinnego; ó ileż jednak więcej czyni to cała prawie klasa rzemieślników oddająca się po skończonej pracy zabawom w bawarjach i innych tym podobnych niebudujących zakładach? Konieczną tu więc jest potrzeba założenia resursy rzemieślniczej, gdzieby przy odpoczynku rzemieślnik znalazł naukę i poczciwą rozrywkę.... Podano już podobno taki projekt lecz trudno doczekać się urzeczywistnienia chociaż rzecz jest tak naglącą. Niepotrzebujemy zdaje się wchodzić tu w szczegóły—projekt sam za siebie przemawia. Rzucono już myśl niech ją podejmą ci, których obowiązkiem dbać o dobro moralne i materyalne powierzającej się im czeladzi.

Jak Kur. Warsz. donosi, obiega pogłoska, iż jeden z najpierwszych finansistów tutejszych otrzymał koncesyą na wydawnictwo codzienne gazety, poświęconej głównie interesom przemysłu i handlu. Jakkolwiek istnieje już jeden organ zajmujący się specyalnie sprawami tego rodzaju, t. j. „Gazeta Handlowa,” która dobrze zadanie swoję pojęła i w miarę sił rozwija, nie uważamy jednak za zbyteczne, pojawienia się nowego pisma handlowego, bo przez to zyskać może wszechstronne zapoznanie się publiczności z potrzebami krajowego handlu i przemysłu.

W przeszłym tygodniu, niewiadomy dotąd sprawca, dokonał śmiałego morderstwa na zamieszkującej w mieście tutejszem, przy ulicy Długiej, Aleksandrze Sarneckiej, zadawszy jej kilkanaście ran w piersi. Zbrodnia dokonaną została wtedy właśnie, gdy ofiara zamierzała

od kamienia i t. d. Wyliczmy tu kilka tylko miast większych: Tak np. w kijowszczyznie i w Kujawach w odległej starożytności mieszkali Polanie; a więc istnieją *Kijów i Kujawy*, koło Kijowa są *Berest*, *Wyszogród*, *Kaniów*; tak samo i koło Kujaw jest *Brześć*, *Wyszogród*, *Kaniów*. Sam Kijów powtarza się niejednokrotnie. Jest *Kijów* pod Gniewkowem w Kujawach; *Kijany* nad Wisłą i *Kijany* nad Wieprzem; *Kijanka* nad Uszą, *Kijowiec* pod Kleczewem; *Kijów* i *Kijowiec* nad Wartą. Mamy najstarożytniejsze miasta: *Połock* nad Dźwiną i *Płock* nad Wisłą; mamy *Brześć Litewski* i *Brześć Kujawski*. Jest *Mohylew* nad Dnieprem i *Mohylew* nad Dniestrem; *Mogilnica* pod Krakowem i na Mazowszu; jest *Mogił* bez liku; jest *Wrocław* na Szląsku, *Bracław* na Litwie i na Ukrainie; *Mińsk* na Litwie i na Mazowszu; *Kalisz* w Polsce, *Kałuszyn* na Mazowszu i nad Dnieprem, *Kałusz* nad Dniestrem; *Kołoża* pod Pskowem i *Kołoża* pod Grodnem; *Kęty* pod Krakowem i *Kuty* na Pokuciu; *Knyszyn* i *Kleck* litewskie i polskie; jest kilkanaście w rozmaitych stronach *Rokitno*, *Rokitna*, *Rokitnica*; *Raszków* w Polsce i nad Dniestrem; *Żuków* nad Bzurą, nad Wisłą i na Wołyniu pod Klewaniem; *Kowno* na Litwie i w Płockiem; *Dembno* nad Wartą; *Dubienka* nad Bugiem, *Dubno* nad Ikwą, *Szczuczyn* w Litwie i w Galicyi i t. d.

Takich podobizn możnaby wyliczyć bez końca nie w samej tylko Polsce, na Litwie i Rusi ale i na całej przestrzeni Słowiańszczyzny. Przypomnijmy tylko sławne miasto *Wolin*, *Wollin*, *Wołyń* nad Odrą, o którem mówiliśmy i nasze Wołyńskie; tak samo starożytne nadodrzańskie miasto *Winida*, potrzykroć powtarzające się, oraz stolica Wenedów, *Wineta* może mieć pokrewny stosunek z *Winicą* nad Bohem. *Nowgorodow*, *Nowogródków* jest także kilka [1]) Przykłady, któreśmy przytoczyli, chociaż przedmiot zgoła niewyczerpnięty jeszcze, dowodnie przekonywają, że plemiona słowiańskie miały ze sobą ciągłą styczność, że niejednokrotnie przesiedlać się musiały z miejsca na miejsce, przenosząc ze sobą dawne nazwy. Jeżeli przypomnimy sobie napady i wojny Słowian z Hunnami, Gotami, Scytami, Sarmatami, w końcu Celtami i Germanami, łatwo pojąć te przesiedlenia, chociaż w końcu, ani jednej piędzi ziemi nieustąpili Słowianie napastnikom i ta niezmierna przestrzeń, którąśmy wyżej wskazali, była wyłącznie Słowianami zaludniona, a nadto i coraz głębiej, coraz szerzej Słowiańszczyzna sięgała poza Dźwinę, poza Dniepr i Odrę, poza Karpaty.

[1]) Obacz Karola Sienkiewicza rozprawę o Słowiańszczyźnie w Skarbcu historyi, z r. 1840.

Bądź pojedynczo, bądź tłumnie Słowianie szli na podboje, na zdobycze, jedni wracali, sławą okryci, drudzy rozszerzali granice swych posiadłości. Tak w V i VI wieku Słowianie posuwając się nad Dunaj, zajęli Mezyą i dalej aż do Macedonii i Peloponezu. W owym to czasie (koło 469), Słowianin *Onohost* syn *Uniesława*, władał Tracyą, bronił cesarstwa bizantyjskiego od Hunnów i zabił *Denhizaka*, syna Atylli. Tak, trochę później, już w VI stuleciu, widzimy na tronie bizantyjskim najznakomitszego z mocarzów, wielkiego prawodawcę, cesarza Justyniana. Któż to był? Słowianin, *Uprawda*, syn *Istoka*, którego żona, a matka Uprawdy, *Bieglenica*, była rodzoną siostrą poprzedniego cesarza Justyna. Znakomity wódz Justyniana czyli Uprawdy, o którym każdy słyszał, sławny *Beli-zar*, Belizaryusz, Słowianin, którego właściwe imię musiało być *Weliczar*. Historycy przekazali nam imiona i innych wodzów Justyniana, także Słowian, *Swaruna*, *Dobrohosta*, *Wsehorda*, *Chwilibuda*.

Mówiliśmy o cnotach i przywarach dawnych Słowian; gościnność ich nawet nieprzyjaciół, Niemców, w zadziwienie wprawiała. Mamy na to świadectwa historyczne. Arysteusz, przez kraje Słowiańskie, bezpiecznie, jeszcze przed Herodotem, wędrował ku Hyperboreom i wrócił szczęśliwie. Kapłanki Hyperborejskie dostawały się syokojnie do Grecyi. Słomiany koszyk z ofiarą, z nad morza Baltyckiego, podawany od osady do osady, nietknięty dochodził do Delos. Cesarz Maurycy w VI wieku pisze o Słowianach jako nieprzyjaciołach swoich dodając wszakże, że „są łaskawi dla przychodniów; bezpiecznych i całych z jednego miejsca na drugie przeprowadzają; a jeśli dla opieszałości dodanego strażnika, wędrowiec szkodę jaką ponosi, bliski sąsiad winnemu karę wymierza, zemstę za gościa, świętym uznaje obowiązkiem." Toż samo daleko później, bo już w IX wieku cesarz Leon II powtarza: „Są bowiem Słowianie nadzwyczajnie dbali w wyświadczaniu gościnności. Uchybić jej, teraz nawet za złe poczytują, i z dawną ochotą zawsze są dla gości wylani." Pięknie charakteryzuje Słowianina Niemiec Helmold: „dla gościa, mówi on, Słowianin, co ma, wynosi, a czasem, sam biedny, i to czego niema: *twarz wesołą*."

(*d. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Błękitna Książeczka, powieść p. Waleryi Morzkowskiej.

(Ciąg dalszy).

Z powieściopisarzy historycznego zakroju Kosiński doprowadził kierunek ten do ostatnich granic. Wprawdzie na tem polu powieść na tle tendencyi ultrademokratycznej wyrosła, inne miała znaczenie, zamieniła się ona w nieubłaganą filipikę przeciwko szlachcie rzeczypospolitej polskiej.

W każdym razie nieumiarkowany ten kierunek szkodził, raz prawdzie historycznej, innym razem nadwerężał prawdę życiową. Tak wyrodzona powieść, (mamy przedewszystkiem na uwadze powieść obyczajową), przestała być wizerunkiem stosunków społeczeństwa, jego wad i stron charakteru dodatnich a stała się po prostu pasmem obrazków; w których działające postacie posiadały cnoty lub niedostatki, dopuszczały się nawet występków, a wszystko wtedy i w takiej mierze, w jakiej to potrzebne było autorowi do przedstawienia w sympatycznem świetle jednej części społeczeństwa, a potępienia drugiej. Powieść pani Morzkowskiej zbliża się bardzo do tego ostatniego kierunku. Sfery arystokratyczne przedstawiane przez rodzinę książąt Staromirskich i hrabiów Romińskich, stoją nierównie niżej pod względem moralnym i ogólnie ludzkim, jak rodzina należąca do nie arystokratycznej klasy społeczeństwa, z którą zapoznamy się w dalszym ciągu po-

---

wyjść do teatru. Niezwyczajne to zabójstwo zelektryzowało Warszawian; kilkanaście osób aresztowano, w celu wykrycia winnego. Już to wogóle kronika kryminalna z r. b. będzie dość obszerna i bardzo ciekawa pod względem szczególnej swej charakterystyki.

Jestto pewien odpoczynek, *siesta* po ciężkiej nieco pracy—to chwila przejścia po wystawie. Zmęczyła się pierś nasza, oddycha więc obecnie słabo, dopóki się nie wzmocni i goretszym nie wzbierze oddechem. Ospałość ta więc nie jest karygodną ona bowiem jak się spodziewamy wkrótce będzie źródłem podwojonej energii. Wracając jednak do wystawy zauważać musimy, iż wpłynęła ona pomyślnie na rozwój niektórych rzemiosł. Uznane na wystawie firmy dostały dziś liczne zamówienia główne zaś z Cesarstwa. I tak: firmy powrożnicze, „ślusarska spółka" rozszerzyły swe stosunki. Rzemiosła nasze coraz bardziej są tam cenione, szewctwo tylko dawniej tak popytne teraz wskutek nierzetelności drobnych wyrobników, dostarczających lichy towar straciło rozgłos. Opinja jednak jest do naprawienia, byleby źle pojęta konkurencya zechciała stanowczo ustąpić.

W ubiegłym tygodniu wystąpiła na scenie teatru wielkiego, w „Deborze" Mosenthala, p. Rakiewiczowa. Publiczność stęskniona od lat dwóch prawie, za tyle cenioną artystką, przyjęła ją nader życzliwie. Szerzej nad grą pani Rakiewiczowej, rozpisywać się tu nie będziemy, znaną jest bowiem ta jej pełna ognia i namiętności kreacya. Scena przekleństwa, odegrana bez sztucznej afektacyi, lecz z przejęciem się, tryskającem z każdego spojrzenia, z każdego ruchu, wywołała prawdziwy zachwyt... Panią R. zaliczono do stałych artystek naszej sceny, której tak długo chlubnie służyła... Zresztą w gmachu teatralnym chwilowa cisza, opera tylko wystawia „Don Karlosa," balet zaś odtwarza na swój sposób zamierzchłą ludową legendę o panu Twardowskim.

Jesień zasypuje nas liściem i—kalendarzami. Nie myślcie jednak szanowni czytelnicy, iż mamy tu zamiar przeglądać z wami stronice tych studwudziestu noworoczników pojawiających się w naszym języku—bynajmniej chcemy tylko zwrócić uwagę wydawców na pewną niestosowność, jakiej się—z wyjątkiem kilku—dopuszczają. Kalendarze, a szczególnie dla ludzi klas rzemieślniczych tłoczone nie mają zupełnie przynależnego im charakteru. Artykuły zbierają się najczęściej stąd lub stamtąd, pożycza się gdzie tylko można nie uwzględniając potrzeb i wymagań czytelników. Wszakże kalendarz to poradnik domowy, a nieraz jedyny okaz druku, do którego przez rok cały zwracają się oczy jego właściciela. Nie można tu więc zbywać byle czem, nie godzi się karmić przestarzałą lub wątpliwej wartości strawą, potrzeba być czemś więcej niż—wydawcą. Puścić w świat książkę, to dzieło małej pracy, lecz należy ją uczynić pożyteczną. Mieszczanin, rzemieślnik czy kmiotek niech doczyta się w niej właściwej rzeczy, niech się pouczy i zabawi zarazem. Niechaj kalendarz przestanie być jedynie i wyłącznie przedmiotem spekulacyi.

wieści; przyznajemy wprawdzie, że koloryt utworu jest dosyć umiarkowany, zawsze jednak pozostaje widocznem, że autorka wiele ma do zarzucenia klasom arystokratycznym. Że klasa ta ma swoje wady, jak mają je i inne klasy społeczne, to rzecz niezawodna, zdaje nam się jednak, że wady te inaczej cokolwiek przedstawiają się w życiu jak w utworze znanej naszej autorki. Przedewszystkiem książe Staromirski, jakiś arystokratyczny patryarcha rodziny stojącej na pierwszym planie utworu, nieposiada żadnych uczuć ludzkich, człowieka tego niespotykamy na scenie powieści, dowiadujemy się tylko o jego postępowaniu, które obudza w nas zrazu zdziwienie, a następnie pogardę.

Książe Staromirski, ojciec hrabiny Romińskiej i panny Natalii, dziad synka pierwszej, zamiast przytulić się do rodziny, czego każdy w podeszłych latach nieodzowną czuje potrzebę, mieszka zagranicą, gdzie zawiera z hrabią Leopoldem Romińskim rodzaj układu, w którym oddaje mu rękę swej córki Natalii. Ojca nic nie obchodzi, że ten młody człowiek nigdy córki jego nie widział, że więc rachuba tylko prowadziła go do zawarcia z nią dozgonnych związków; pominięty jest nawet wzgląd przyzwoitości wymagający przecież, aby znać osobę, o której rękę się staramy—autorka na to wszystko nie zwróciła uwagi; pan Leopold oświadczył się o pannę, której nieznał zupełnie,— coś podobno jak na wschodzie. Sytuacya naprawiałaby się znacznie, gdyby książe Staromirski sam przyjechał z człowiekiem, którego znając może wartość i stanowisko w towarzystwie, za dobrą dla córki uważał partyą.

Kiedyż stosowniejszą miał porę odwiedzenia rodziny, uściskania wnuka. Książe Staromirski jest to widocznie człowiek z lodowatem sercem, zły ojciec i zły człowiek jak to najlepiej się okaże w dalszym ciągu powieści.

Ojczulek ten nawet listownie nie uprzedził córki, że postanowił o jej losie, że pragnąłby aby wybór jej serca padł zgodnie z jego ojcowskiem życzeniem. Tak doprawdy nie dzieje się w arystokratycznem towarzystwie, jak i w żadnem przyzwoitem towarzystwie na świecie. Mógłby nam ktoś zarzucić, że ojciec Natalii jest oryginałem, że postępowanie jego niekoniecznie ma być obyczajem sfery, do której należy. Ależ i państwo Romińscy postępują nielepiej, hrabia Emilian i jego żona przyjmują kuzyna, jako konkurenta do ręki szesnastoletniego dziewczęcia, z którem zawrzeć chce związek widocznie konwenansowy, niepytając bynajmniej co powie na to serce młodej osoby.

Nieprzyjęcie matrymonialnej propozycyi człowieka, którego zaledwie od dni kilku poznała, ściąga na biedną Natalię niezasłużoną burzę. Zapewne coś podobnego zdarzać się może i zdarza się w niektórych rodzinach, ale dlaczegóż ma być regułą w sferach arystokratycznych?

Przeciwnie, zawieranie umów o związek dozgonny między osobami bez żadnego względu na ich serdeczne skłonności pospolitem jest bardzo w najniższych warstwach towarzyskich, u ludu. Jeśliby ktoś z miejskich lubowników sielanek przeczyć nam chciał w tej mierze, złożyłby dowód zupełnej nieznajomości ludu i jego obyczajów. Wykształcenie umysłu i uczuć w ludziach podnosi i emancypuje indywidualność jednostek, dla czegóżby w sferach, którym niepodobna odmówić średniego przynajmniej oświecenia, indywidualność ta miała być tak dalece zanegowaną? Arystokratyczny chłód objawia się jeszcze w rodzinie Romińskich brakiem wzajemnego do siebie zaufania i nieslychanie sztywną regułą przyzwoitości domowej.

Widzieliśmy wyżej jak Natalia, spotykając od kilku dni w domu i ogrodzie nieznanego sobie młodzieńca, nie śmiała zapytać ktoby on był. Jedyne dziecię państwa Romińskich, chowane jest zdaleka od oka rodziców i zupełnie do towarzystwa domowego nie wchodzi. W stosunkach osób tak bliskich siebie krwią, żyjących pod jednym dachem, panuje nieznośny przymus.

Stara Drylska, ochmistrzyni Natalii od lat dziecińtswa, nazywa ją zawsze „księżniczką,” w ogóle tytuły powtarzają się w powieści do znudzenia, osoby działające czczą się niemi bez końca, co czytelnikowi robi niesmak niewypowiedziany. Tymczasem, kto zna bliżej życie rodzin arystokratycznych, wie dobrze, że członkowie ich jakkolwiek nazewnątrz ograniczają się może, a i to niewszyscy i niezawsze, do stosunków, które za godne siebie uważają, w czem zapewne i przesąd wiekowy niemałą gra rolę; między sobą żyją tak jak wszyscy inni śmiertelnicy, swobodnie i we wzajemnej dla siebie ufności. Dziadowie pieszczą wnuki. Dzieci chowają się pod okiem rodziców i siadają znimi do stołu, od którego nawet nauczyciele i nauczycielki młodego pokolenia, bynajmniej nie są wyłączone. Stare ochmistrzynie długo nazywają po imieniu swoje wychowanki, a przynajmniej mówiąc do nich nie używają tytułu. Do przedmiotu tego później jeszcze dorzucimy słówko, teraz powróćmy do biegu powieści.

Hrabia Emilian tedy, poznał pana Kalinę stojącego w oknie, pomimo, że ten poznawszy hrabiego usunął się wgłąb pokoju. Jakim sposobem hrabia Emilian odszukał odrazu ślad kochanków, tak, że zaledwo w parę godzin po nich znalazł się w miejscu, gdzie się schronili, rzecz ta do końca powieści pozostaje dla czytelników niewyjaśnioną. Jestto jeden z tych niedostatków, pochodzących najczęściej z nieuwagi autora, a szkodzących niezmiernie całości utworu.

Że przedsiębiorąc pogoń, hrabia pospieszył do stacyi kolei, to mogło być dosyć naturalnem, ale trochę załatwo dowiedział się, dokąd wzięli bilet, co w zwykłym biegu rzeczy jeden tylko kasyer mógłby zauważyć, a i ten niewielką tu mógł dać wskazówkę, ponieważ, jak to nam powiada sama autorka i więcej młodych ludzi, udawało się tym pociągiem, a panna Natalia zostawiona w sali pasażerskiej, nie była zupełnie przy kasie. Dalej, jak hrabia Romiński dowiedział się, że zbiegli, przybywszy do Włocławka, w tym własnie stanęli hotelu? jest ich tam przecie kilka.

Autorka pomijając wyjaśnienie czytelnikowi tych szczegółów zrzekła się dosyć zajmującego ustępu, jakim w powieści bywa zwykle pogoń i poszukiwania. Pan Romuald w przytomności hrabiego Emiliana, postraszony kodeksem karnym, traci odrazu kontenans, a mając sobie wręczony przekaz do bankiera na 20,000 złp., na cele podróży naukowej zagranicę, przyjmuje warunki hrabiego. Napisawszy do zasypiającej błogo w sąsiednim pokoju Natalii list, w którym dosyć zabawnie pozuje na ofiarę losu i nieubłaganej konieczności, przyczem nie szczędzi kochance nauk moralnych, spieszy do stacyi kolei, hrabia Emilian towarzyszy mu, aby się upewnić, że rzeczywiście odjechał. Natalia tymczasem przebudzona ze snu wstaje, ubiera się naprędce, wchodzi do sąsiedniego pokoju, zdziwiona znajduje list, czyta — poczem nieprzytomna, wybiega na ulicę, a prowadzona instynktem rozpaczy, przybywa nad brzeg Wisły. Niedaleko od miejsca, gdzie się zatrzymała, stał domek, obwieszony dziką winną latorośla, otoczony klombami kwiatów; z tego domku wyszedł mężczyzna lat średnich i zbliżył się do Natalii, ta jednak zajęta walką, jaka się staczała w jej duszy, zapatrzona w nurt rzeki, nie widziała go wcale. (*d. n.*)

KORESPONDENCYA Ogniska Domowego

Z ZAGRANICY.

Lwów, w październiku.

Przyznajcie szczerze szanowni czytelnicy i miłe czytelniczki, iż nie ma przykrzejszej na tym bożym świecie rzeczy nad— pierwszą wizytę. Etykieta krępuje swobodę, zręcznie układać potrzeba ręce i słówka, a broń Boże, by dłużej nad przepisanych piętnaście minut zabawić... Drugi raz to idzie już lepiej. Jakoś człeku raźniej i składniej język się rozwiązuje, wena przybywa, o czasie nikt wcale nie pamięta...

Otóż tej najprzykrzejszej pod słońcem rzeczy, sądzono mi teraz dokonać. Przybywam do Was z pierwszą wizytą, w tradycyjnym fraku, w białych rękawiczkach, skromny, przyzwoity, lękający się przeciągnięcia odwiedzin. Tym fatalniejsze jednak moje położenie, iż w dalekich stronach się wykołysałem, i że od przybysza żądać pewno będziecie ciekawej konwersacyi, opisu rodzinnego gniazda i skreślenia jego bieżących dziejów. Macie do tego pełne prawo, któremu posłuszny, zaczynam. Samielu pomagaj!

Nazywam się Tristis, pochodzę ze Lwowa, stolicy Galicyi, miasta wciśniętego w kotlinę, nakrytego piaszczystą górą, ochrzconą Wysokim Zamkiem, a przepasanego wąziutką wstęgą, zwaną Pełtwą. Najpyszniejszy jednak grodu tego *civis* nie ośmieli się mienić Pełtwy rzeką... Kanalik ten, *excusez*, tak dalece wonią swą się przypominał, iż rajcy sławetni wraz z pospólstwem znacznym sumptem pokryli część jego większą. Tyle o wodach, — teraz o lądzie stałym.

W liczbie stutysięcy obywateli, żyjących na owym lądzie, odróżnić łatwo około trzydziestu tysięcy izraelitów, z których połowa w długich chodzi szatach, w czapkach starego kroju, o zaroście patryarchalnym, jak tego chce Zakon. Stan mieszczański i urzędniczy jest nader liczny, mało tu tak zwanych „prywatyzujących” (kapitalistów), kilka tysięcy wojska, spora garść klasy rzemieślniczej, ot i wszystko! Młodzieży płci obojga, dostatek.

Handel i przemysł przeważnie w ręku żydów. Oni to owładnęli stolicą, a za nią całym prawie krajem... Nigdy może nie dało się to tak silnie uczuć jak obecnie, stąd też pismo p. Dobrzańskiego, srogą wypowiedziało im wojnę. Od roku blisko budzi ono ospałych mieszczuchów, wykazując im opłakany stan ekonomiczny, oświeca obywateli wiejskich, zostających także pod uciskiem i wzywa do otrząśnięcia się z apatyi, do pracy rzetelnej przeszkadzającej nieprawidłowemu wzrostowi i rozwielmożnieniu się pewnej kasty. Nie potrzebuję dodawać, iż zaczepieni, bronią się różnemi środkami.

Lwów prowadzi, przyznać mu to należy, żywot dość ruchliwy. Więcej tu jednak próżnego hałasu; wielkomiastowej pulsacyi w nim nie dopatrzysz.... Choć chęć po temu, prowincyą przecie czuć zawsze. Wiele potrzeba jednak zdziałać, aby mu nadać zupełną cechę europejskiego miasta... Obecnie przedstawia się jako wielkie przedmieście Wiednia, dużo bowiem tu naleciałości z nad modrego Dunaju.

Lwowianin nie chce się nudzić, bawić się jednak nie potrafi... Nie korzysta mianowicie z przepięknych okolic i spacerów, jakich ma dostatek, włóczy się raczej „po wałach,” (coś w rodzaju bulwarów), położonych nad

wyżej a tak niezaszczytnie wzmiankowaną Pełtwą. W lecie używa majówek, loteryi fantowych i kąpieli (nb. w stawach); zimą tańczy, głównie na balach publicznych. Plotkami, skandalem, komerażami i polityką (czyli „tromtadracyą") bawi się przez rok cały. Muzykę lubi i zna się na niej, bo słucha dzielnych mistrzów. Do teatru uczęszcza chętniej na operę.

Teatr jest nawet jego czułą struną. W olbrzymim jednak gmachu skarbkowskim, dzieją się rzeczy, o których się nietylko filozofom lecz i dzisiejszym pozytywistom nie śniło. Od czasu wyrugowania p. Miłaszewskiego, smutnej pamięci dyrektora, rozpoczęła się prawdziwa bójka... Więc puszczono teatr na akcye.

I był dobry dramat, postawiono operę, (wówczas z warszawskich śpiewaków: Cieślewski, Köhler, Borkowski, Kwiecińska), po kilku jednak miesiącach zmieniono firmę rządu, komitet się rozsypuje. Łatają drugi, potem następuje triumvirat, potem znowu duumvirat, hrabiowie panują i książęta, obalają ich artyści i sami ster imają. Trwa to pół roku, waśnie, wzburzone namiętności, nieukrócone ambicye, niszczą dzieło. Znowu zmiany (często okupywane skandalem), w skutku których wreszcie mamy obecnie dyrekcyą, złożoną z artystów: pp. Wolańskiego, Huberta i Konarskiego.

Publiczność obałamucona tylokrotnie, zwróciła się do nich ostatecznie z zaufaniem. O składzie dramatu, napiszę wam kiedyś później, obecnie donoszę, iż przedstawiono w tych dniach „Kroka," cenną tragedyą p. Bronisława Komorowskiego, w której główny oklask zebrał znany wam Rychter, będący podobno reżyserem.

Opera, od czasu gdy przyświecać jej poczęła tak piękna gwiazda, jak pani Friderici-Jakowicka, mimo różne zmiany w dyrekcyach szczęśliwie prosperuje. Komplet, po powrocie pana Köhlera znowu nader sympatyczny. Odznacza się w nim tenor p. Zakrzewski, śpiewak zaszczytnej przyszłości.

Publiczność lubi sypać oklaski i wieńce, nad wszystkich jednak obdarza niemi p. Jakowicką. Śpiewaczka ta, nazwana przez jednego z felietonistów *divą*, ma przywilej entuzyazmowania Lwowian, więc się entuzyazmują! Witana i żegnana zwykle kwiatami, czaruje, zda się, swym głosem. Śpiewając w jednej operze z taką artystką, jak Artôt odniosła zwycięstwo. Ludek lwowski dumny jest z takiej primadonny, którą zapewne ta sympatya wiąże do naszej mieściny.

Ostatnio występowała w „Hrabinie" Moniuszki. Arcydzieło zgasłego mistrza wywołało zachwyt niebywały.

Wiele czasu traci Lwowianin na *siescie*, w cukierniach, kawiarniach i mnogich resursach *vulgo* kasynach.

Natomiast niewiele czyta. Do tej jesieni poraliśmy się głównie z pismami codziennemi, obecnie przybyły nam dwa literackie, mogące się mierzyć z warszawskiemi. Zwłaszcza jedno z nich *Ruch literacki*, wychodzące nakładem Gubrynowicza i Szmidta, pod redakcyą Bronisława Zawadzkiego. Jestto organ poważny bez spekulacyjnej przymieszki. Składają się nań najpierwsze pióra, że wspomnę tu tylko: Kraszewskiego, Libelta, Jeża, Zacharyasiewicza, Kaszewskiego, Szujskiego, Ely...ego, Duchińską i wielu innych. Liczne odpowiadające wszelkim potrzebom działy wypełnione są znakomicie. Pismo wychodzi tygodniowo. *Tydzień* kolportowany przez pp. Rogosza i Richtera nie może z niem wytrzymać porównania.

Rzetelną naukę, o jaką trudno było wpierw Lwowianinowi, nabyć będzie mógł wkrótce w akademii technicznej, której gmach, kosztujący 1,300,000 guldenów austryackich, obecnie wznoszą. Będzie to prawdziwa ozdoba miasta. Uniwersytet Franciszka Józefa zarumienił się się wobec takiego przepychu młodszej siostry.

W tych dniach również zreorganizowano szkoły ludowe miejskie i podwyższono płace nauczycieli. Z biedaków stali się oni przez noc, posiadaczami kilkuset guldenów. Założono też przed tygodniem szkołę leśną, dzięki subewencyi sejmu (kadencya jego tegoroczna obejmowała 23 posiedzeń) i wspaniałomyślności Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Rząd ufundował jeszcze jedno gimnazyum.

Zdaje mi się, iż pierwsza wizyta moja trwa dłużej nad piętnaście minut... Darujcie, chciałem wam dać choćby przybliżony obraz mego gniazda. Pędzel nieudolny, lecz jaśniejsze nałoży barwy, gdy mu pozwolicie raz jeszcze spróbować... Więc *addio!* *Tristis.*

P. S. Żałuję, iż nie mogę do tego listu dołączyć rumieniących się pod mem oknem, malin. Moja małżonka smażyła wczoraj powtórnie poziomki!

PRZEZNACZENIA.

Sceny z życia amerykańskiego,

przez

Fryderyka Gersteker'a.

(Przekład z niemieckiego.)

(Dalszy ciąg)

To powiedziawszy odszedł i zostawił nieszczęśliwego własnym jego myślom; i znów unosiły się przed nim urocze obrazy kraju rodzinnego. W tej chwili tam, w Nowym Jorku, jego ślub, goście sproszeni, a rodzice w niepokoju, jego luba we łzach i rozpaczy—a tu.... Wzruszony zakrył twarz rękoma, ale uczucie jakieś wewnętrzne mówiło mu, że dłużej tej rozpaczy oddawać się nie powinien. Słusznie twierdził harpunier, należało mu po męsku znosić los swój, dopóty przynajmniej, póki zmiana położenia była widocznie niemożliwą. Jeśliby zmiana nastąpiła, mógłby działać swobodnie, ale teraz niedorzecznemi skargami pogorszyłby tylko swój stan; pokrzepiony temi myślami poczuł w sobie siłę oparcia się najstraszniejszej nawet przyszłości.

Nie tracąc przeto ani chwili dłużej na bezużyteczne rozmyślania, wszedł na pokład, gdzie dopiero zauważył, że okropnie musi wyglądać. Wszystko, co sam mógł widzieć na sobie sprawiało mu obrzydzenie, nie brał więc za złe ludziom, którzy go spotykali, że wymijali go bez pozdrowienia i z jawną pogardą. Wprawdzie z tej też przyczyny nie umiał sobie poradzić i nie wiedział, dokąd się zwrócić, ale przyszedł mu w tem z pomocą bednarz, który mu przyniósł kubeł wody morskiej i dał kawał tak zwanego mydła morskiego, używanego do wody słonej, gdyż z wodą źródlaną na okręcie „długiej podróży" obchodzą się z nadzwyczajną oszczędnością i ani jedna kropla tej wody nie marnuje się przez użycie jej do mycia.

Wreszcie retman Bill przyniósł mu świeże suknie i bieliznę; kapitani bowiem okrętów dążących na połów wieloryba zabierają zazwyczaj w drogę znaczny zapas rozmaitych ubiorów, które po zenach oznaczonych sprzedają potem majtkom, z wielkim rozumie się, zyskiem dla siebie. Po skończonej podróży wartość rzeczy wybranych potrąconą im bywa z przypadającego na nich udziału w korzyściach ze sprzedaży tłuszczu osiągniętych, a nierzadko się zdarza, że biedacy ci po przebyciu długiej bardzo podróży, tyleż dłużni są kapitanowi za suknie i trzewiki, ile wynosi udział ich w zyskach okrętowych.

Zostawiono mu też czas do umycia się i wyczyszczenia starych sukien, choć z początku bardzo mu to szło niezręcznie. Szczęście tylko, że chorobę morską przezwyciężył zaraz po pierwszym napadzie, inaczej bowiem los jego byłby nierównie opłakańszy, gdyż na pokładzie wcale się nie uwzględnia nowych marynarzy.

Wstąpiwszy na pokład, Jerzy rzucił wzrokiem wkoło po widnokręgu, a spojrzenie to w zupełności wystarczało, by go przekonać: że wszelki dalszy opór byłby płonnym i bezużytecznym. Zewsząd bezgraniczne, dalekie morze, nigdzie lądu, a choć wiatr trochę się uspokoił okręt o pełnych żaglach pędził wciąż naprzód i naprzód.

Jak się należało spodziewać, bednarz nie mógł zachować tajemnicy, że Jerzy był adwokatem, ale podzielił się nią z innymi ludźmi okrętowymi. Ludzie ci jednak, z których niejeden może w podobny sposób dostał się na okręt, mieli współczucie dla człowieka, co tak nagle i pomimo swej woli rzuconym był na morze. Tego było dosyć, by go zostawić w spokoju; co więcej, nawet nie wszyscy uwierzyli opowiadaniu bednarza, sądzili bowiem, że *prawdziwy adwokat*, nie dałby się złapać w podobny sposób.

Jerzy zresztą dosyć miał rozsądku, by poddać się konieczności. Pierwszy strach ubezwładniający, pierwszy wybuch rozpaczy, był pokonany, a będąc zazwyczaj charakteru energicznego, postanowił i tym razem zagryźć wargi i czekać chwili sposobnej. Narazie, ani on sam sobie, ani nikt inny pomódz mu nie był w stanie; gdyby jednak nadszedł czas, zamierzył skorzystać z niego i czy to w dobry sposób czy przemocą wyswobodzić się z tej strasznej niewoli. Niepodobna przecież było przypuścić, że na tę sposobność długo czekać przyjdzie.

A Jenny?... Ściskało mu się serce, gdy pomyślał jak będzie stroskaną, jak zmartwioną o niego i jak długo będzie go czekać napróżno. I cóż mogła sądzić o nim, że ją tak nagle, tak tajemniczo opuścił—jego biedna—biedna Jenny! Ale on sam winien był wszystkiemu; dlaczegoż tyle przywiązywał wagi do kaprysu dziewczęcego, do małego, niewinnego żartu, nie byłoż to dziecińśtwem z jego strony, ze strony mężczyzny, który powinien być rozsądniejszym? I tak okropnie, tak niesłychanie miał być ukaranym za to!

Nie dano mu nawet czasu na te smutne rozpamiętywania.

— Jerzy—pójdźno, chłopcze, obracaj mi kamień, zawołał na niego drugi retman, który ostrzył stare, zadrdzewiałe harpuny, no? prędzej trochę, chłopcze, tej roboty przynajmniej nauczysz się łatwo i trochę się wyprostujesz.

Godzinami całemi stał teraz—on, jedyny syn bogatego Haleya, i obracał ciężki kamień dopóty, dopóki tylko był w stanie poruszać ramionami—potem musiał obracać koło, nosić drzewo i węgle dla kucharza, pompować wodę razem z innymi, pomagać wyprężać liny boczne i smarować je, a prócz tego wysłuchać niejednego przekleństwa od towarzyszy. Jakże często zwracał wtedy wzrok z utęsknieniem w stronę lądu, a gdy się zbliżał wieczór, gdy pomyślał, co go czekało dzisiaj, o tej porze, jego, wybranego z pośród tysiąca, zdawało mu się, że mu serce pęknie z boleści. Kiedy go wreszcie zawiadomiono, że ma straż nad kajutą i że wolno mu wypocząć, rzucił się na

ciasne swe, stęchlizną przejęte posłanie, a zakrywając twarz chustką, jęczał potajemnie.

Przychodziły mu do głowy straszne myśli—myśli o śmierci i samobójstwie. Jakże mógł żyć dłużej, żyć w dali od tej, którą kochał z całej duszy, dla której uderzało każde tętno jego serca. Ale nadzieja! Bez nadziei połowa ludzkości stałaby się samobójcami, jedna też nadzieja go podtrzymywała. Pływał doskonale, łatwo zdarzyć się mogło, że napotkają wśród drogi inny okręt wracający do kraju, lub że przybiją do jakiegoś lądu, albo, że będą w bliskości jakich wysp, albo wreszcie, że nasunie mu się sposobność ucieczki na jednej z zabranych łodzi; tysiące różnorodnych, często niepodobnych do urzeczywistnienia myśli goniło się wzajem, aż zasnął w końcu snem niespokojnym przerywanym dzikiemi marzeniami.

Taką była jego noc weselna.—Biedny Jerzy!

V. Połów wieloryba.

Nadszedł następny ranek, mijał jeden dzień po drugim, a nic się w położeniu Jerzego nie zmieniało. Nie był on żeglarzem, ale z biegu okrętu, ze zwrotu tegoż ku południowi, łatwo mu było się domyśleć, że w tym kierunku płynąc, na ląd natrafić nie mogą. Wprawdzie dawały się widzieć gdzie niegdzie żagle pojedyncze, w takiej jednak odległości, iż o możności ucieczki i myśleć nawet było niepodobna. Tym mniej było przypuszczalnem, aby mu się udało samemu na otwartej łodzi, przybić do dalekiego brzegu, przypuściwszy nawet wypadek najszczęśliwszy, gdyby zdołał puścić łódź na morze i zaopatrzyć ją w żagle. Był jeńcem—tygodnie upływały po tygodniach, a okręt nieubłagany unosił go coraz to dalej i dalej od rodzinnego miasta.

Słońce coraz ogniściej dopiekało, zbliżali się do równika i długo okręt kołysał się wśród zupełnej ciszy wietrznej i znojnego upału. Nowi na pokładzie majtkowie musieli przejść chrzest kroplisty, był to żart brutalski, od którego nie mógł uwolnić się żaden z nowicyuszów. Potem znów długie przeminęły tygodnie, aż zawiał wietrzyk nieco chłodniejszy.

— Ląd! zawołał z góry marynarz, który bezustannie teraz z wierzchołka masztu upatrywał ryb. Jeden z załogi, kucharz, utrzymywał, że to wyspa Ś-tej Katarzyny, i nie omylił się.

Wysoka, lesista przystań pozostała jednak zdaleka, wiatr bowiem dął silny, a statek nie śmiał przybliżyć się do lądu, czego zresztą nie było mu potrzeba. Przygotowywano się tylko do połowu, ale w obec wzburzonego chwilowo morza nie można się było odważyć nawet na wyprawienie łodzi.

Tymczasem Jerzy nieraz jeszcze usiłował rozmówić się z kapitanem, gdy mu się zaś to nie udawało, z pierwszym harpunierem przynajmniej, jako drugą z rzędu osobistością na pokładzie, wszystko wszakże napróżno. Kimkolwiekby był, rzekł mu ten ostatni, zawsze sprowadzony został na pokład przez towarzysza z noclegu i od niego *wynajęty*. Boas wziął za niego pieniądze; a on sam później już dostał odzież i bieliznę, to wszystko trzeba było wprzód odsłużyć, gdyż o zapłacie w Nowym Jorku i mowy być nie mogło. Gdyby to uchodziło, każdy na pokładzie wydawałby się za jedynego syna tego lub owego bogacza, na okręcie zaś, na którym zysk cały do wspólnego, jakkolwiek w różnym stosunku, idzie podziału, wyłączenie się jednostki naraża zysk wszystkich.

Jerzy na każdym kroku starał się żyć w zgodzie ze swemi towarzyszami na pokładzie, co mu się często stawało bardzo trudnem, gdyż był to lud szostki, pozbierany z indywidów należących do wszystkich klas społeczeństwa. Na pokładzie bowiem okrętu dążącego na połów wieloryba wszystko mogło być przydatnem, cokolwiek się nadarzyło, a nawet przyjętem być musiało, bez względu na pochodzenie, gdyż prawdziwi i przyzwoici marynarze unikają podobnych przedsiębierstw. Zgromadzoną tu przeto była hołota awanturnicza, zbiór charakterów różnolitych, jaki rzadko gdzie się zdarza na tak miłej przestrzeni.

Rozumie się, że wyjątek pod tym względem stanowili oficerowie, harpunierzy i sternicy, którzy szli za powołaniem swojem; kowal, bednarz i cieśla również oddani byli swemu rzemiosłu, a siedmiu lub ośmiu z całej załogi okrętowej było rzeczywistych marynarzy.

Zresztą, odstawiono tego samego wieczora razem z Jerzym z tuzin drabów, którzy pewnie nigdy przedtem w życiu swojem wnętrza okrętu nie widzieli, pół tuzina Irlanczyków pijanych zabranych z ulicy, kilku Niemców, którzy, niebiegli jeszcze w języku angielskim, dali się uwieść świetnym obietnicom usłużonego ziomka, tuzin negrów wszelkiej barwy, młodzi kupcy i rzemieślnicy,—otóż i wszystko. Wielu z nich złudziło przyrzeczenie, że okręt będzie w drodze tylko rok, że będzie żeglował wśród rozskosznych wysp oceanu południowego, że w korzyści z połowu osiągniętej każdy z nich będzie miał swój udział. Nie przeczuwali naturalnie, jak mało z tych korzyści dostaje się prostym majtkom, nie domyślali się również i tego, że przyjdzie im przebywać prace i czasy ciężkie, że przyjdzie znosić żar i zimno naprzemiany. Nie tyle jednak pragnęli zysków, ile, jak mówili, „chcieli świat zobaczyć,” że zaś okręt dążący na połów wieloryba był miejscem ku temu najniestosowniejszem, o tem przecież wiedzieć nie mogli.

Jerzy trzymał się od nich wszystkich zdaleka, z początku zwłaszcza, nie mówił prawie do nikogo. Zajmował się robotą swoją, nie chcąc się narażać na nieprzyjemne wymówki, z tem wszystkiem jednak, kiedy miał straż nad kajutą lub w chwilach odpoczynku przesiadywał godzinami i całemi na przodzie okrętu i wpatrywał się w dalekie, bezgraniczne morze. Jakże w chwilach takich krwawiło mu się serce, jak straszni e krwawiło! A podczas, gdy w duchu widział się bliskim ukochanej, która go w domu opłakiwała, porywała go boleść niewypowiedziana i radbyłby zginął wśród trosk i udręczenia.

Kilku z załogi okrętowej, niepojmujących widać uczuć swego towarzysza, chciało sobie trochę pożartować z niego, dlatego, że wiecznie był zamyślony. Dopóki to czynili słowami tylko, spokojnie znosił te żarty i nie zwracał na nie uwagi. Gdy jednak jeden z nich, Irlandczyk jakiś, zawadyaka, którego gniewał spokój Jerzego, porwał się na niego i popchnął, Jerzy zbił go tak, że już nie zaczepiał go potem, i że zarazem reszta ludności okrętowej zaczęła nań patrzeć z uszanowaniem. Irlanczyk ów był dotychczas tak zwanym *bully* okrętowym, panującym na pokładzie i nie znoszącym oporu. Ale stracił tę przewagę, jaką sobie był zjednał jedynie za pomocą pięści swoich, gdy rzucony został o ziemię i zwalczony przez Jerzego, któryby wprawdzie nie dorównywał mu co do siły, lecz był o wiele zręczniejszym od niego. Odtąd też nikt nie śmiał już zaczepić Jerzego, on sam zaś nikomu nie dawał powodu do skargi.

Pomimo to znienawidzonym był przez wielu dlatego, że zdawał im się zbyt wielkim panem, i że nie zważał na ich żarty grubiańskie. Szczególniej cieśla, który uważanym bywa jakby za oficera na okrętach, nie cierpiał go, a z tego właśnie powodu bednarz nieraz ujmował się za nim. Bednarz bowiem w nieprzyjaznych znów był w stosunkach z cieślą. I bednarz jednak nie wchodził w bliższą znajomość z Jerzym, gdyż jako *bednarz* byłby ubliżył swojej godności, gdyby się wdał z prostym majtkiem.

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY

w kuchni, kółku domowem i salonie.

RADY PRAKTYCZNE

dla młodych żon i panien,

streszczone z dziełka

MARYI CALM.

W ostatnich czasach dużo o pracy i działalności kobiety pisano i mówiono. Opierając się na zdaniu Murycego Müllera: *że kobieta ma prawo zająć się każdą pracą, do której tylko ma zdolność*, chcą jej otworzyć nowe pole działalności i tym sposobem ukształcić ją dostatecznie, aby czyniąc zadość wymaganiom swego wieku, potrafiła samoistnie zarabiać na swe utrzymanie. Te pożądane reformy wywrą bezwątpienia, najlepszy wpływ na cywilizacyą i rozwój umysłowości całych narodów, lecz zdaniem mojem, przed wprowadzeniem nowego porządku rzeczy, należy się starać dawne poprawić niedostatki. Łatwiej jest rozprzestrzenić dawne pole działalności, aniżeli odkrywać nowe; ale o uprawianiu gruntu będącego pod ręką, mała tylko liczba pań naszych pamięta. Jedne czynią to przez niewiadomość, drugie, przez lenistwo i apatyą, a złe zawsze złem pozostaje. Spodziewam się, że mi moje czytelniczki nie wezmą za złe, jeżeli biorąc za wzór najnowsze dziełko pani Maryi Calm, będę się starała uwagę ich zwrócić, na pewne uchybienia w kółku domowem i towarzyskiem, oraz w skróceniu przełożyć jej myśli, odznaczające się praktycznością i przejęciem się duchem czasu.

Autorka, jako Niemka i gorliwa patryotka, w piersi której jeszcze nie przycichła pieśń: *Wacht am Rhein*, pragnęłaby przystkie kobiety ożywić patryotyzmem, wszystkie panienki skłonić do zajęcia się polityką, do pilnego czytania dzienników i śledzenia rozpraw Reichstagu; my córki innej ziemi, postawione w odmiennych warunkach nie możemy się tak bardzo interesować rozwojem idei germańskiej i dlatego ten ustęp dziełka, jako nas prawie niedotyczący znacznie skróciłam.

I. Prace domowe.

Und waltet weise,
Im häuslichen Kreise.
Schiller.

Obowiązki żony i matki, są najważniejszemi w życiu kobiety, i o nich tu mówić nie będziemy; pomijamy też te osoby, które jak np. nauczycielki wyłącznie się swemu zawodowi poświęciły; mówimy tu o kobietach w ogóle, do średniej i wyższej klasy społeczeństwa należących. Otóż nie przypuszczamy, ażeby która z nich rzeczywiście nie miała zdolności do wypełniania swych obowiązków jako pani domu i gospodyni; w młodości swojej każda panienka, niemi się zajmuje, i jest to rzeczą godną pochwały, iżby się przyzwyczajała do przyszłego zarządu domem; lecz jeżeli to ma być nauką, to uczyć się tego trzeba gruntownie.

Dla kobiety-gospodyni, prace domowe są celem jej życia, najważniejszą czynnością, która rzeczywiście i jedynie, na nazwę pracy zasługuje, i w rzeczy samej czynność kobiety, w średnim stanie zostającej, obarczonej często

liczną rodziną i mającej pod swemi rozkazami tylko jednę lub dwie, niedoświadczone sługi, może się nazwać ciężką pracą. Niejeden mężczyzna, spoglądający z pewnego rodzaju lekceważeniem na to zajęcie, złożone z tylu drobnostek, porównywając je ze swoją, tak obszerną działalnością byłby w wielkim kłopocie, gdyby mu przyszło zadośćuczynić tym rozlicznym, a nawet niekiedy w sprzeczności ze sobą zostającym wymaganiom, które stanowią domowe zajęcia kobiety.

Jednakże jak każda praca, tak i ta przynosi prawdziwą zapłatę. Sądzimy nawet, że większą niż niektóre inne, z powodu, że rezultat jej daje się prędzej i wyraźniej spostrzegać.

Student oddający się nauce, potrzebuje dużo czasu, pilności i wytrwania, ażeby dojść do niezbyt wysokiego celu; nauczycielka, zajmując się często, całe miesiące i lata z największą pilnością swoim zawodem, w końcu przyznać musi, że owoce jej trudu są bardzo małe—gdy przeciwnie, kilka godzin pracy około domu, upiększa nawet małe biedne mieszkanie, nasyca je tą miłą wonią porządku i elegancyi, rozpościera wygodę i przygotowywa smaczną ucztę, przyjętą z taką wdzięcznością przez całą rodzinę.

Dlatego też błogosławioną i pochwały godną jest działalność kobiety w domu, pięknym i miłym obraz prawdziwej gospodyni.

Oto stoi przed nami, ta wierna kapłanka domowego ogniska — patrzmy jak bystrym wzrokiem włada w swojem państewku, jak wszystko rozsądnie urządza i porządkuje, jak mile i łaskawie, chociaż stanowczo rozkazy wydaje i sama gdzie potrzeba, zręcznie też ręki przyłożyć umie.

O bezwątpienia, taka gospodyni, która podług słów Szylera:

„Rządzi mądrze
W domowem kole."

jest prawdziwym skarbem, ideałem. Szkoda tylko, że ten ideał, tak rzadko widzimy urzeczywistniony.

Dlaczego nawet pomiędzy niemieckiemi gospodyniami, słynnemi ze swej skrzętności—tak rzadko znajdujemy takie, któreby odpowiadały obrazowi, skreślonemu przez Szylera? Francuzka, jeżeli nie trzyma kucharki, stołuje się w garkuchni, Amerykanka ma na swe usługi niezliczoną liczbę *boarding houses*, których gospodynie za umiarkowaną zapłatę, podejmują się opieki nad jej żołądkiem, a Angielka, która wprawdzie ciągle z dumą powtarza: *My home, is my castle*, rzadko kiedy zechce, lub potrafi ręki przyłożyć do swego gospodarstwa a szczególniej żadnej Angielce, mającej choć trochę pretensyi do nazwiska: *lady* nie przyjdzie nigdy do głowy, zajrzeć do kuchni lub samej się zająć przyrządzeniem jakiej potrawy. Kuchnie też w domach angielskich, znajdują się zwykle w suterenach. Przyczyną, dla której tak rzadko, nawet pomiędzy Niemkami, spotykamy obraz prawdziwej gospodyni, jest albo brak chęci do zajęć domowych, albo zupełne oddanie się tymże pracom, a przez to zapomnienie o innych obowiązkach.

Skargi na pierwszą z tych przyczyn słyszymy wszędzie.

Nasze damy, żyją tylko dla strojów i przyjemności, wołają oburzeni mężczyzni, w domu ich zastać nigdy nie można, biegają po balach, i koncertach! Przyznajcie drogie czytelniczki, że skarga ta jest poniekąd uzasadnioną. Dużo rodzin przyszło do nędzy i ostateczności z powodu, że pani domu, nie miała tego poczucia porządku, i tym sposobem nie potrafiła, domu uczynić miłym i wygodnym. A coraz rzadsze małżeństwa czyż nie mają po większej części swego źródła, w owej niedołężności kobiety, która się domem zajmować nie chce, lub nie umie, a w każdym razie, na swoje wydatki dużo potrzebuje?

Otóż zamiłowanie w strojach i przyjemnościach, brak dobrej woli, lub odpowiedniego uzdolnienia są to powody, które zazwyczaj przeszkadzają sumiennemu wypełnieniu domowych obowiązków.

Dwie pierwsze z tych wad przejrzymy, w ostatnich rozdziałach: *O rozrywkach towarzyskich* i *O strojach*, lecz o jednym punkcie, będącym też w niejakiej styczności z zabawami, chcielibyśmy dłużej pomówić.

Posądzają nas, że tak zazwane *stowarzyszenia*, w Niemczech *Vereine* przeszkadzają nam w dokładnem dopełnianiu naszych obowiązków, jako żon i gospodyń. Zobaczmy, jak dalece ten zarzut jest uzasadnionym.

Pod nazwą stowarzyszeń rozumiemy, wszelkie tego rodzaju zgromadzenia w najrozmaitszych celach. W Niemczech mają one za zadanie, podniesienie i wspomożenie klasy ubogiej i rozprzestrzenianie jej zarobku. U nas stowarzyszeń takich dotychczas istnieje zbyt mało i jakkolwiek pożytek z nich widoczny, nie zdążyły jeszcze przynieść upragnionych owoców.

Dalej istnieją u nas tak chwalebne instytucye, jak np. ochronki, niechaj się niemi zajmą szczególniej te z czytelniczek, które same małą, lub wcale żadnej nie mając rodziny, czas swój biednym, opuszczonym istotom poświęcać mogą z pożytkiem; ale niechaj to robią oględnie, nie dając się powodować wpływom postronnym i działając jak im serce podyktuje. Te zaś, którym Pan Bóg, obdarzając je liczną rodziną, sam wskazał pole ich pracy, niech pamiętają, że obowiązki najbliższe sercu, najpierwej też powinny być wykonywane.

Dalej przytoczyliśmy, niechęć i niesposobność, jako wady stojące na przeszkodzie w zajmowaniu się gospodarstwem. Z pierwszą z nich, to jest z niechęcią, najczęściej połączona jest pycha. Wielka liczba tak zwanych wysoko ukształconych kobiet uważa dla siebie za poniżenie zajmować się interesami domowemi. Tem jednak dowodzą, że ich wykształcenie nie jest wysokiem, inaczej uważałyby każde najmniejsze zajęcie, za godne siebie, skoro tylko ono przynosi pożytek któremu z członków rodziny, która znowu, jako cząstka wielkiej familii i narodów znaczny pożytek krajowi przynieść może. Dalej te same panie powinnyby mieć na uwadze, że rozliczne obowiązki pani domu, wymagają nietylko wysokiego wykształcenia ale i połączenia w jednej osobie wielu przymiotów, a kształcąc młode gospodynie, wpajać w nie tę zasadę, że pojmując lepiej stronę materyalną swego powołania, powinny ją łączyć z duchową, ażeby potrafiły urzeczywistnić ideał poety, a wtedy zapewne, mniej byłoby kobiet zniechęconych i niepojętych, będących zawadą, dla siebie i drugich.

(*d. c. n.*)

ROZMAITOŚCI.

Teatr Varietés, w Paryżu wystawił niedawno sztukę, która wzbudza prawdziwy zapał między publicznością. Tytuł jej: Mormonowie w Paryżu, a osnowa następująca: Jeden renegat z ich sekty — Francuz rodem, i adwokat, ucieka od swego haremu przy *słonem jeziorze* i wraca do Paryża, gdzie się też niebawem żeni. Dwie jego opuszczone Ariadny, jadą za nim, i natrafiają na chwilę, kiedy akt ślubny zawiera się w *Grand Hôtel.* Zaczynają go więc napastować na spacerach, w teatrach, na ulicy, używając w tym celu rozmaitych przebrań, skąd wynikają najśmieszniejsze powikłania. Komedya ta, jest tak zręcznie ułożoną że teatr Varietés, cieszyć się będzie przez całą zimę niezwykłem powodzeniem.

Nowy sposób prędkiego zabijania zwierząt, niedawno wynaleziono w Norymberdze, za pomocą maski skórzanej, przymocowywanej do rogów. W środku znajduje się blacha metalowa, przedziurawiona w miejscu dotykającem mózgu. W ten otwór wstawia się ostry sztyft, który jednem uderzeniem młotka, przebija czaszkę, i wchodzi na 6. centymetrów w głąb mózgu. Zwierzę tym sposobem przestaje żyć w jednej chwili, bez bólu. Próby, udały się doskonale. Operacya, trwająca 30 do 40-tu sekund, nie przestrasza zwierzęcia, a śmierć sprowadza natychmiastową.

Gaulois podaje ciekawą listę wszystkich nowszych pisarzy dramatycznych, dziennikarzy i powieściopisarzy francuskich, z oznaczeniem, rodzaju pracy, której się oddawali przed wstąpieniem w zawód literacki. Podajemy z nich najważniejszych: Alek. Dumas (ojciec) był pisarzem u notaryusza, później sekretarzem księcia Orleańskiego. Scribe, pisarzem u komornika. Michał Masson, pomocnikiem księgarza. Michał Delaporte, był litografem i uczniem Regnaulta. Henryk Rochefort, ekspedytorem w biurach paryskiego ratusza. Paweł de Kock, urzędnikiem handlowym. George Sand, malarką miniaturowych kwiatów i ptaków, na tabakierkach, i cygarnicach. Teofil Gautier, malarzem. Juliusz Janin, profesorem języka łacińskiego i greckiego. Ponsard, pisarzem u adwokata w Delfinacie. Ludwik Halevy, sekretarzem księcia de Morny. Delacourt, Flau, i Bayard, pisarzami u adwokatów.

Wzorowe folwarki gospodarcze. Gubernator Kurlandzki przedstawił Ministerstwu dóbr projekt urządzenia w każdym okręgu jednego wzorowego folwarku gospodarczego, — któryby mógł być praktyczną szkołą dla wieśniaków - rolników. Na pokrycie potrzebnych na ten cel wydatków proponuje zbieranie stosownej rocznej niewielkiej składki z każdego włościańskiego osadnika. Projekt to nader praktyczny, godzien poparcia i wielkiej dla rolnictwa doniosłości.

Izraelici w Cesarstwie. Prawo co do osiedlania się w Cesarstwie Izraelitów dotąd ograriczone, ma być na ich korzyść roszerzone, mianowicie dla tych, którzy ukończą jakikolwiek zakład naukowy i posiadać będą stosowne świadectwo. Również dla zaprowadzenia ścislejszej statystycznej kontroli i niezbędnego porządku między ludnością izraelską mają być wprowadzone obowiązujące dla niej *śluby cywilne.*

Tabor kolei. W Niemczech, w r. 1873 wyprodukowano 1000 lokomotyw i 30 tysięcy wagonów dla kolei żelaznych — za sumę 30 milionów talarów.

Uniwersytet w Zagrzebiu nowo założony z wielką uroczystością otwarty został dnia 18 października r. b. Uniwersytet nosi nazwę „Frańciszka Józefa" do jego zaś założenia najwięcej przyczynili się biskup Strossmayer i arcybiskup Michajłowicz. Pierwszy ofiarował na ten cel 100,000 złr. drugi 30,000. Na uroczystość otwarcia przybyli prawie od wszystkich Uniwersytetów deputowani.

DONIESIENIA.

Druk Burzyńskiego i Czerniejewskiego, Nowy-Świat Nr 57. — Дозволено Цензурою. — Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**